

Wakacje 2008 Egipt, Ruanda, Zanzibar

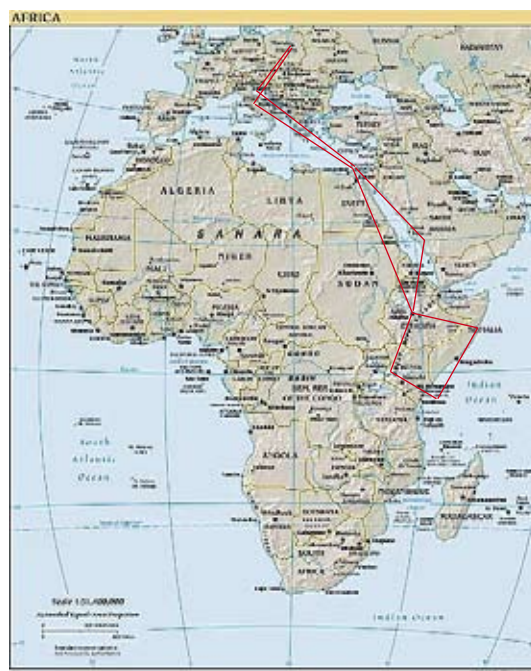
Wylecieliśmy zgodnie z planem 3 lipca o 17.40 z Warszawy do Rzymu, skąd – po krótkiej przerwie – liniami Air Italia do Kairu. W Kairze byliśmy w samym środku nocy. Jak się okazało miało to pozytywne znaczenie.

Po godzinie jazdy byliśmy już w hotelu. W ciągu dnia, a nawet wczesnym rankiem lub wieczorem, przejazd z lotniska do miasta zajmuje ponad 2 godziny.

Jak to zwykle podczas podróży, najmniej czasu chce się przeznaczyć na sen. Kair jest przepięknym miastem. Jest największą metropolią Afryki, a zarazem największym ośrodkiem intelektualnym świata arabskiego. Za każdym pobylem można dostrzec w nim coś nowego. Jednych urzeka widok kopuł, minaretów, kolorowych kramików z przyprawami, dywanami, wyrobami ze złota itp. wypełniających ciasne uliczki starego miasta, innych urzekają muzea, zabytki okresu faraonów, a jeszcze innych stary cmentarz usytuowany u stóp wzgórz Mukattam. Jest on jednym z największych cmentarzy świata islamskiego. Na obszarze o długości przekraczającej 5 km wzniesiono tysiące grobowców zwieńczonych kopułami, przeplatanych minaretami, należących do sułtanów, kalifów, mameluków i wysokich dostojników państwowych.

We wnętrzach grobowców od dawna mieszkają ludzie, a ich liczba dochodzi do kilku milionów. Jest to jedna z bardziej niebezpiecznych części miasta. Zaludnia się późnym wieczorem, a pustoszeje wraz ze świtem. Jedyny bezpieczny sposób obejrzenia tej części miasta to wynajęcie taksówki. My zrobiliśmy to w drodze powrotnej z Tanzanii.

Po kilku godzinach snu postanowiliśmy, mając do dyspozycji cały dzień, przejść spacerem do Wielkich Piramid. Piramida Cheopsa wystawała zza wysokiego muru okalającego hotel. Jest największa i pierwsza



w kolejności, patrząc z okien naszego hotelu. Za nią znajduje się piramida Chewrena, a dalej Mykerinosa.

Po godzinie marszu byliśmy już u podnóża piramid.

Aby uprzyjemnić, a także ułatwić sobie wycieczkę, wynajęliśmy bryczkę. O tej porze roku jest tam niemiłosiernie gorąco. Temperatura w słońcu przekracza 50 stopni Celsjusza. Podróż bryczką zakończyliśmy przy Sfinksie. Przez długi czas uważano, że ten stwór o ciele lwa i twarzy człowieka przypomina króla Chewrena. Dziś uważa się, że jest to strażnik świątyni słońca. Inni uważają, że jest to twarz Królowej Hat-

szepsut. Pożegnawszy się z naszym przewodnikiem, udaliśmy się do pobliskiej herbaciarni, gdzie popijając miętową herbatę, oddawaliśmy się błogiemu lenistwu.

Na lotnisko pojechaliśmy o północy. Podczas odprawy biletowo-paszportowej okazało się, że powinniśmy mieć promesę wizy do Ruandy. Nie pomagały żadne tłumaczenia. Do odprawy został wezwany przedstawiciel etiopskich linii lotniczych. Mimo posiadanej i opłaconej przez nas zgody na wyprawę na goryle, odmówił wydania nam kart pokładowych.

Pomyślny finał naszej przygody zawdzięczamy stojącemu za nami p. Francis GATARE – dyrektorowi Agencji ds. Promocji Inwestycji Zagranicznych Ruandy. Złożył poręczenie wydania wiz dla nas po przylocie na lotnisko w Kigali. Pozostały jeszcze do wypełnienia formularze, których podpisanie zwalniało z odpowiedzialności linie Ethiopian w przypadku nie wpuszczenia nas do Ruandy.

Okazało się, że to nie koniec naszych kłopotów.

Z Kairu wylecieliśmy z 4-godzinnym opóźnieniem, które zwiększyło się jeszcze o 1 godzinę postoju w Chartumie. Kiedy wylądowaliśmy w Addis Ababie, nasz samolot do Kigali właśnie wystartował.



Musieliśmy zostać do następnego dnia w Addis Ababie – na szczęście na koszt Ethiopian Airlines. Do hotelu jechaliśmy w strugach deszczu, który towarzyszył nam do odlotu następnego dnia rano. Lipiec jest miesiącem bardzo deszczowym w tej części świata.

Do Kigali – stolicy Ruandy – przylecieliśmy zgodnie z rozkładem. Wizy otrzymaliśmy bez problemu. Zostaliśmy tylko pouczeni, aby następnym razem uzyskać promesę. Bagaże dotarły również bez problemu. W Kairze na wszelki wypadek zafoiowałem nasze walizki. Seleman – tak nazywał się nasz przewodnik – czekał na nas przy bramce wyjściowej. Będąc w Addis Ababie, udało mi się zadzwonić do niego, że przylecimy następnego dnia.

W Ruandzie językami obowiązującymi są: francuski, angielski, kinyaruanda. Znaczna część społeczeństwa posługuje się suahili. Liczba ludności: 10.186.000 (dane na 2005 r.).

Ruandę zamieszkują 2 główne grupy etniczne:

Buntu, w skład której wchodzi: **Hutu** 90%, **Tutsi** 9%, **Pigmeje – Twa** 1% (Pigmeje byli pierwszymi mieszkańcami Ruandy. Do XIV w. byli większością grupą etniczną). Ludy napływowe

to **Hindusi, Arabowie, Europejczycy**. Największą grupę wyznaniową stanowią **katolicy 65%**; wyznawcy religii pierwotnych – **animiści 17%**; **protestanci 9%**; **muzułmanie 9%**.

Ruanda położona jest w Strefie Wielkiego Rowu Afrykańskiego. Prawie całą powierzchnię stanowią wyżyny 2500–3500 m n.p.m. Klimat podrównikowy, wilgotny, odmiana górską. Temperatury od 17 do 21 st. C. Najwyższy szczyt: Karisimbi – 4507 m w paśmie gór Wirunga. Właśnie w paśmie gór Wirunga na granicy z Zairem (Demokratyczną Republiką Konga) i Ugandą na wysokości od 2500 do 3500 m zamieszkują goryle górskie.

Pasmo to słynie z bardzo ciekawych, ciągle aktywnych wulkanów. Stąd nazwa Volcanoes Park (Wulkaniczny Park Narodowy).

Jak wspominałem, pierwszymi mieszkańcami Ruandy byli **Pigmeje**, plemiona myśliwskie pochodzące z plemienia **Twa**. W I tysiącleciu nastąpił napływ rolniczych plemion **Hutu**, a w kolejnym – koczowniczych plemion **Tutsi** zajmujących się pasterstwem.

Tutsi systematycznie podporządkowywali sobie Hutu, przejmując ich kulturę oraz zwyczaje.

W XVII w. utworzyli silnie scentralizowane państwo plemienne – monarchię, w której dominującą rolę odgrywała arystokracja feudalna. Ruanda dysponowała stałą armią podległą królowi. Król zawsze pochodził z klanu Njiginja. Z tego też klanu wywodzili się wszyscy wojownicy. W 1890 r. Ruanda przyjęła protektorat niemiecki i stała się częścią niemieckiej Afryki Wschodniej.

W czasie I Wojny Światowej Ruanda była okupowana przez wojska belgijskie, a od 1922 r. stanowiła wraz z sąsiednią Urundi (obecnie Burundi) Kolonię Belgijską.

W 1943 r. **Mwami – Charles Mutara III**, król Ruandy pochodzący z Tutsi, przyjął katolicyzm, rezygnując tym samym z wielożęstwa. Konsekwencją był brak następcy tronu.

W 1959 r. król zmarł bezpotomnie podczas wyjazdu do sąsiedniej Burundi w niewyjaśnionych okolicznościach. Władzę objął jego brat **Mwami – Kigeli V**, który również zmarł, nie pozostawiając potomstwa. W tym samym roku wybuchła wojna domowa między Hutu i Tutsi.

W jej wyniku ostatni władcy, wraz z częścią plemienia Tutsi, zostali wypędzeni z Ruandy.

Władzę objęli Hutu. Przejął ją przywódca PARMENHUTU (Partii Emancypacji Ludu Hutu) **Gregoire Kayibanda**.

W wyniku referendum nadzorowanego przez ONZ zniesiono monarchię, a w 1962 r. powołano ONZ. W tym samym roku nastąpił rozpad Ruandy – Urundi i powstanie niepodległej Republiki Ruandy oraz Monarchii Konstytucyjnej Burundi.

Od 1963 r. rozpoczął się kolejny okres walk etnicznych i prześladowania Tutsi.

W ich wyniku zginęło kilkanaście tysięcy Tutsi, a duża część schroniła się w sąsiedniej Ugandzie, skąd rozpoczęto walkę pod flagą Ruandyjskiego Frontu Patriotycznego. W 1973 roku w wyniku zamachu stanu władzę przejął generał **Juvenal Habyarimana**. Walki przybrały na sile w 1989 r. W 1993 r. zawarto pokój z władzami Ruandy – z prezydentem Habyarimana na czele, dzięki interwencji ONZ.

W kwietniu 1994 r. śmierć Habyarimany była pretekstem do masakry całej ludności Tutsi.

W jej wyniku zamordowano ok. 1.000.000 ludzi, a co najmniej tyle samo uciekło do sąsiedniej Ugandy i Zairu. Ostatecznie konflikt został zakończony w 2000 r. pokojem w Aruszy.



Kościół w Rukarze, maj 1994 r.: East News

Zaraz po przyjeździe do Kigali udaliśmy się do muzeum ludobójstwa. Wrażenie było wstrząsające. Zdjęcia, filmy oraz pamiątki po ofiarach. Powyższe zdjęcie z masakry w Rukarze.

Zresztą, podróżując po Ruandzie, na każdym kroku spotykaliśmy się z pozostałościami po okresie ludobójstwa – opuszczone do dnia dzisiejszego domostwa.

Kigali jest bardzo czystym, położonym na wzgórzu i – jak na Środkową Afrykę – ładnym miastem.



Na ulicach w przeciwieństwie do Addis Abeby nie ma żebraków, drogi są czyste, bez śmieci, uporządkowane i – co ciekawe – w bardzo dobrym stanie, ale tylko w stolicy. W mieście jest bardzo dużo zieleni, a po obu stronach drogi rosną kwiaty. To samo mogliśmy powiedzieć, jadąc z Kigali do Ruhengeri, miejscowości położonej na granicy Narodowego Parku Wulkanicznego (Volcanoes Park). Im dalej od stolicy, tym droga stawała się coraz gorsza.





Po obu stronach drogi rozciągały się przepiękne krajobrazy. Ziemia wykorzystana rolniczo – aż po wierzchołki gór. Najczęstszymi uprawami są herbata, warzywa oraz bananowce. Podczas naszej jazdy, pobocznymi w obu kierunkach, ciągnął się sznur pieszych, którzy bardzo często szli obładowani najróżniejszymi przedmiotami. W Ruandzie transport publiczny prawie nie istnieje, a ten, który jest i tak dla mieszkańców jest za drogi.

Na polach cały czas pracują ludzie, używając tradycyjnego sprzętu – motyki, sierpa i maczety.

W Ruhangeri byliśmy wieczorem. Zatrzymaliśmy się w małym, sympatycznym hoteliku La Pal-

me. Hotele są w Ruandzie miejscem, gdzie można zawsze spotkać białych ludzi.

Podczas kolacji obsługiwał nas bardzo miły i sympatyczny, dobrze mówiący po angielsku i francusku kelner. Wszystko nam tego dnia bardzo smakowało. Byliśmy na progu celu naszej podróży do Ruandy. A przecież niewiele brakowało, a do Ruandy byśmy nie polecieeli.

Bardzo wcześnie rano pojechaliśmy do Kinigi – małej miejscowości, znajdującej się na terenie Parku Wulkanicznego w paśmie gór Wirunga, gdzie mieści się baza ORTPN.

Stąd, po krótkiej odprawie, w towarzystwie strażników i pracowników Parku Narodowego wy-



ruszyliśmy na poszukiwanie przydzielonej nam rodziny goryli.

Nazywała się „13”. Nazwa grupy pochodziła od liczby osobników w chwili jej nazwania.

Aktualnie liczyła 26 osobników. 1 samiec – silver back, 6 samic, kilka młodych samców, a reszta to dzieci. Co ciekawe, ojcem wszystkich dzieci był tylko jeden samiec – przywódca stada. Po 2 godzinach marszu i mozolnej wspinaczki, pokonując płataninę lian i krzewów eukaliptusa, doszliśmy do świeżo wydeptanej, dopiero co opuszczonej pola-



ny. Chwilę później poczuliśmy charakterystyczny dla goryli zapach, po czym, pokonując kolejne chaszczki eukaliptusa, napotkaliśmy całe stado.

Nasza obecność – i to w odległości zaledwie kilku metrów – nie robiła na gorylach żadnego wrażenia. Zachowywały się tak, jakbyśmy byli jednymi z nich. Małe goryle podbiegały co chwilę do nas, jakby chciały wciągnąć nas do swojej zabawy. Popisywały się przy tym, próbując naśladować zachowanie dorosłych. Dwie matki zajęte były karmie-





niem niedawno urodzonych dzieci. Jedno miało 5, a drugie 6 dni. Wszystkiemu przyglądał się siedzący na skraju polany silver back. Wyglądał bardzo dostojnie. Był potężny, mógł ważyć około 150 kg, a srebrny grzbiet podkreślał jego przywództwo. Wpatrywał się w nas, jakby chciał przeniknąć do naszych myśli. Swoim spokojem i postawą dawał cały czas do zrozumienia, że on tu jest „królem”. W pewnym momencie chwycił drzewo eukaliptusa grubości ramienia, błyskawicznie nagiął je do ziemi i puścił. Jednocześnie odwrócił głowę i patrząc na nas, przyglądał się naszej reakcji. Goryle są najłagodniejszymi ze wszystkich ssaków, a siłę manifestują między innymi w taki właśnie sposób. Potem była już zupełna sielanka. Młode goryle podbiegały co chwilę do nas, a jeden z nich próbował dotknąć moich spodni. Nie wiadomo kiedy minęła godzina (niestety tylko tyle można przebywać w towarzystwie stada) i musieliśmy pożegnać się z gorylami.

Przez kilka metrów szliśmy z głowami odwróconymi do tyłu, nie chcąc stracić goryli z pola widzenia. Absolutnie nie mieliśmy ochoty stamtąd wracać. Tam pozostał zupełnie inny świat.

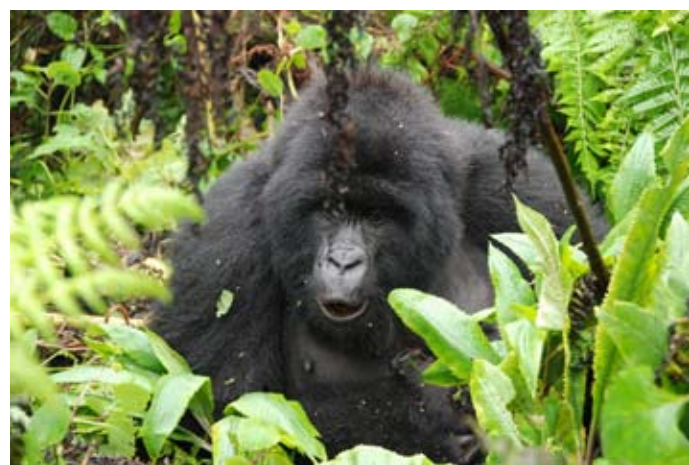
Świat, w którym panuje harmonia, gdzie nie czuje się żadnego niepokoju, a wszystko jest przyjazne. Niestety stromość zbocza, gęstwina krzewów i drzew zmusiła nas do patrzenia przed siebie. Zmęczenie i skutki porannego deszczu dopiero teraz zaczęły dawać o sobie znać. Ziemia była bardzo śliska, a zbocze bardzo strome. Było to przyczyną częstych, niekontrolowanych zjazdów w dół. Należało bardzo uważać na rośliny. Jedne były koleczaste, a inne trujące. Kontakt z nimi mógł być bardzo przykry, a czegoś przecież należało się trzymać, aby nie upaść.



Po ponad 2 godzinach marszu doszliśmy do zaparkowanego jeepa i po następnej godzinie byliśmy już w Kinigi. Tego dnia już do późnego wieczora nasze myśli i wspomnienia pozostały na zboczach gór Wirunga.

Następnego dnia wczesnym rankiem pojechaliśmy w kierunku Jeziora Kiwu, leżącego na granicy Ruandy i Konga. Mijaliśmy setki ludzi podążających poboczem w obu kierunkach, a jedynymi samochodami, jakie mijaliśmy, były samochody pracowników Misji ONZ.

Droga stawała się coraz gorsza w miarę zbliżania się do miejscowości Gisenyi leżącej na samej



granicy. Coraz częściej mogliśmy dostrzec obozy przejściowe dla uciekinierów z Konga. Obok obozów często powstawały targi, na których można było kupić i sprzedać odzież oraz wiele artykułów codziennego użytku, ze zwierzętami włącznie.

Zatrzymaliśmy się na jednym z takich targów. Natychmiast zostaliśmy otoczeni przez biegające między zabudowaniami dzieci. Zawsze byliśmy na to przygotowani. Mieliliśmy pełen plecak cukierków, długopisów, ołówków i zeszytów. Kiedy zająłem się fotografowaniem twarzy dzieci, podszedł do mnie Suleman – nasz przewodnik i pokazał, że musimy natychmiast odjeżdżać. Tak zrobiliśmy. Dopiero podczas jazdy wytłumaczył nam, że zaczęło robić się niebezpiecznie. Nie zauważyłem, jak zaczęła zbierać się grupa starszych, mrucząc coś pod nosem. Suleman wyjaśnił, że w tym rejonie starsi są bardzo niezadowoleni, jak biali



filmują ich, a przede wszystkim dzieci. Po niecałej godzinie jazdy byliśmy już na miejscu. Hotel, w którym się zatrzymaliśmy, nazywał się La Bella. Położony był przy jeziorze w odległości 300 m od granicy z Kongiem, w przepięknym otoczeniu starych, kolonialnych domów. Sam zresztą pamiętał zapewne dawną kolonialną świetność Ruandy. Otaczał go przepiękny, ponad 100-letni, ogród. Wewnątrz wykonany był z drzewa egzotycznego z bardzo pięknymi, starymi, skrzypiącymi schodami prowadzącymi do sypialni na piętrze. Z sypialni roztaczał się piękny widok na ogród i jezioro. Codziennie rano budziły nas bardzo kolorowe, egzotyczne ptaki, które upodobały sobie drzewo



rosnące przy naszym oknie. Na parterze był bardzo duży salon z jadalnią. Na szczytowej ścianie znajdował się ogromny kamienny kominek. Brakowało niestety bibelotów, obrazów oraz tych szczegółów, które oddawałyby nastrój tamtych czasów. Zresztą i tak był to chyba najbardziej nastrojowy hotelik, jaki spotkaliśmy. Przywitała nas właścicielka oraz dwoje służących – kobieta i mężczyzna. Właścicielka była bardzo ładną kobietą, pochodzącą z Omanu, a mieszkającą po drugiej stronie granicy w Gomie. Mieliliśmy okazję trochę się z nią zaprzyjaźnić, dzięki czemu zostaliśmy zaproszeni do dopiero co wybudowanej nowej posiadłości



nad samym jeziorem. Spędziliśmy tam cały dzień, skąd popłynęliśmy wynajętą łodzią wzdłuż jeziora do gorących źródeł, gdzie miejscowa ludność gotuje w nich kartofle. Płynąc po jeziorze, miało się wrażenie, że to rejs po morzu (Jezioro Kiwu jest jednym z większych i najgłębszych w Afryce). Kiedy zaczęliśmy zbliżać się do brzegu, kilku młodych chłopców wskoczyło do wody i płynąc przed nami, pokazywali nam kierunek. Zatrzymywaliśmy się w bardzo malowniczych zatoczkach i natychmiast byliśmy otaczani przez grupy ludzi przebywających na brzegu.



Mieli oni z reguły bardzo smutne twarze. Wszędzie, gdzie się pojawialiśmy, wzbudzaliśmy wśród miejscowych nie lada sensację. Po wojnie domowej do Ruandy przyjeżdża niewielu turystów.

Będąc w Gisenyi, odwiedziliśmy jeszcze fabrykę herbaty zarządzaną przez Anglika oraz małą fabryczkę szczotek założoną jeszcze przez Niemców.



W drodze do Butare – największego ośrodka akademickiego i kulturalnego Ruandy – zatrzymaliśmy się w sierocińcu. Po wojnie domowej jest ich na terenie Ruandy bardzo dużo.

Zostało w tym czasie osieroconych kilkadziesiąt tysięcy dzieci. Do tego trzeba dodać bardzo dużą śmiertelność mieszkańców spowodowaną chorobami tropikalnymi oraz AIDS. Ten 2-godzinny pobyt w sierocińcu pamiętam ze wszystkimi szczegółami. Widok wyciągniętych rączek kilkuletnich dzieci przekrzykujących się słowami „mama” i „tata”

mam przed oczami jeszcze dzisiaj. Myślę, że ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej brakuje im miłości. Oczywiście każda forma pomocy jest jak najbardziej słuszna i bardzo potrzebna, co my również – na miarę naszych możliwości – uczyniliśmy.

Przed wieczorem byliśmy w Nyanza. Znajduje się tam pałac królewski, w którym mieszkał ostatni król Ruandy, Mwami – Charles Mutara III. Obecnie znajduje się w nim muzeum. Pałac jest skromnie wyposażony. Przypomina rezydencję, którą król wybudował po powrocie z Belgii, wzorując się na tamtejszej architekturze. Po wojnie domowej został zniszczony, a wyposażenie zostało rozkradzione. Niedaleko pałacu znajduje się dawna siedziba poprzedniego króla – Mwami Musinga Yuhi V. Jest to zespół tradycyjnych szałasów. Największy,



położony centralnie, to szałas króla, a okalające go mniejsze, to szalasy kolejnych żon oraz dzieci. Do czasu panowania następcy Mwami – Charles Mutara III, król był wyznawcą animizmu. W oddali znajduje się wybudowany na wzniesieniu, otoczony przepięknymi ogrodami nowy pałac króla, w którym

niestety nigdy nie zamieszkał. Mwami – Charles Mutara III zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Wszystkie te budowle są zlokalizowane na obszarze kilkudziesięciu hektarowego ogrodu.

Właśnie w tej scenerii zaplanowaliśmy sobie obejrzenie i wysłuchanie śpiewów i regionalnych tańców. Są one bardzo charakterystyczne dla Ruandy i Burundi. Nazywają się **Intore dancing**. Każda uroczystość z udziałem króla była poprzedzana takimi występami. Wśród tańców są takie, które poka-





wojenny, podczas którego tancerze przywdziali długie peruki wykonane z konopi, tańcząc w rytm bębnów, wydawali najróżniejsze, im tylko znane, okrzyki wojenne.

Zaraz potem zaszło słońce, a my mieliśmy jeszcze przed sobą ok. 50 km drogi do Butare.

Zatrzymaliśmy się w hotelu Ibis. Wszędzie na około było bardzo dużo młodzieży. Butare to największy ośrodek akademicki Ruandy. Można tam było też spotkać stosunkowo dużo białych ludzi. Stąd do granicy z Burundi jest zaledwie 20 km.



zują życie i pracę ludzi zamieszkujących te tereny, radość, miłość oraz walkę. Wszystkie te tańce było nam dane obejrzeć. Odbływały się one przy akompaniamencie bębnów, na terenie dawnych ogrodów królewskich, w świetle zachodzącego słońca. Wycucie rytmu, zapal oraz radość z tańca były wypisane na ustach wszystkich biorących udział w pokazie. Nie raziły nas ubogość strojów, za duże buty lub po prostu ich brak. Należy pamiętać, że Ruanda należy do najbiedniejszych krajów Afryki. Entuzjazm towarzyszący tancerzom udzielił się też nam. Najbardziej widowiskowym był taniec



nazwanej Nyngwe Fores National Park. Graniczy on z Kibura National Park w Burundi, tworząc ogromny kompleks leśny. Zajmuje on obszar prawie 1000 km², na którym występuje 280 gatunków ptaków, w tym 26 endemicznych, 85 gatunków ssaków – 25% wszystkich występujących w Afryce, 32 płazy, 38 gatunków gadów, ponad 1000 gatunków roślin, w tym 200 odmian orchidei, i 120 rodzajów motyli.

W parku tym jeszcze niedawno można było spotkać zwierzęta należące do „wielkiej piątki”. My postanowiliśmy w drodze do Cyangugu za-

Rano odwiedziliśmy uniwersytet, a następnie pojechaliśmy do Cyangugu – miejscowości leżącej na drugim końcu jeziora Kiwu, na granicy z Koniem.

Zaraz po minięciu Butare droga była fatalna. Jechało się po resztkach asfaltu prawdopodobnie położonego jeszcze za czasów kolonii belgijskiej. Odcinek 100 km pokonywaliśmy 4 godziny.

Na szczęście po 30 km jazdy zaczęły rozciągać się widoki na plantacje herbaty, bardzo charakterystyczne dla krajobrazu Ruandy, a następnie wjechaliśmy do największej w tym rejonie dżungli





trzymać się w Gisakura, gdzie swoją siedzibę ma również ORTPN (Organizacja Rządowa ds. Turystyki po Parkach Narodowych). Po załatwieniu wszystkich formalności ruszyliśmy na spotkanie małp colubus. Są one bardzo charakterystyczne, a w szczególności Ruwenzori Colubus z białymi bokobrodami oraz długą kitą sterzącą z boku głowy, silnie kontrastującymi z czernią pozostałej części ciała. W Gisakura Forest jest ich największa populacja na świecie. Występują jeszcze Angola colubus żyjący w Południowo-Zachodniej Afryce oraz złoty colubus żyjący w Chinach. W odległości jed-

nej godziny marszu przez dżunglę doszliśmy do polany, na której bawiło się wśród drzew eukaliptusa kilkadziesiąt osobników. Wydawały przy tym piskliwe dźwięki. Kiedy przestawały się bawić i skakać po drzewach, skupiały swoją uwagę na jedzeniu. Nasza obecność specjalnie im nie przeszkadzała.

Wracając do samochodu, uzgodniliśmy jeszcze z przewodnikami wyprawę następnego dnia rano do dżungli w poszukiwaniu szympanсів. Jest ich w Nyungwe ok. 500 sztuk.

Powoli nastawał zmierzch, a my mieliśmy ok. 50 km do Cyangugu, gdzie planowaliśmy zatrzymać się na nocleg. Zatrzymaliśmy się w przepięknie położonym hoteliku nad brzegiem jeziora Kiwu z widokiem na leżące po drugiej stronie Konga. Jezioro kończy się w tej miejscowości i jest stosunkowo wąskie. W rejonie tym zostało wymordowanych najwięcej Tutsi. Przez most graniczny do Konga uciekali najpierw prześladowani Tutsi, a po wojnie ścigani i poszukiwani Hutu.



Następnego dnia ruszyliśmy bardzo wcześnie rano. Była może 4.00, kiedy wyjechaliśmy na spotkanie z przewodnikami i strażnikami. Po godzinie dojechaliśmy do skrzyżowania w miejscowości Gisakura, gdzie dołączył do nas jeszcze jeden jeep. Jechały nim dwie Niemki. Jak się później okazało, jedna z nich pracuje na uniwersytecie w Butare i zajmuje się malarią. Po kolejnej godzinie jazdy przez pola herbaciane wjechaliśmy w dżunglę. Po krótkiej odprawie ruszyliśmy wąską ścieżką. Na czele szedł strażnik, od czasu do czasu pomagając sobie maczetą w torowaniu naszego przejścia. Mijaliśmy olbrzymie

drzewa, które ostatnio widzieliśmy podczas wędrówki przez dżunglę na Borneo. Powoli wstawał świt i las budził się ze snu. Po dwóch godzinach marszu najpierw usłyszeliśmy charakterystyczne dla szympanсів odgłosy, a po następnych dwu kwadransach, rozgarniając liany i liście drzew, zobaczyliśmy parę szympanсів siedzącą na drzewie i zjadającą owoce. Byliśmy w odległości ok. 40 metrów. Ręce mi drżały i z wielkim trudem trzymałem na przemian to kamerę, to aparat. Bardzo trudno





było ustawić ostrość. Na przeszkodzie stały drzewa obrosnięte lianami i przeróżnymi roślinami. Należało znaleźć lukę w tym gąszczu. Mi się udało. Po obserwacji pary szympanсів postanowiliśmy pójść w dół zboczem, kierując się dobiegającymi do nas odgłosami innej grupy. Był to bardzo wyczerpujący marsz. Krzysztof musiał zrezygnować. Wrócił do bazy z jednym z przewodników. My podążaliśmy dalej. Zostało to nam wynagrodzone, kiedy przeszliśmy jeszcze w dół kolejne kilkaset metrów. Szympansy żyją w dolinach, a te zamiesz-

kujące Nyungwe większość czasu spędzają na drzewach. W stosunku do szympanсів zamieszkujących Kamerun, Tanzanię nad jeziorem Tanganika, są na wcześniejszym stadium rozwoju.

W dole spotkaliśmy kolejną parę. Była równie okazała, może trochę starsza.

Teraz zaczął się morderczy marsz pod górę. Słońce było już wysoko. Temperatura znacznie się podniosła. Idąc pod górę, bardzo zmęczeni i spoceni, byliśmy dobrą pożywką dla komarów. Spotkaliśmy jeszcze po drodze przepięknie śpiewającego tukana oraz kilka małych L'Hoest's Monkey charakteryzujących się krótką białą brodą. Są one trochę podobne do kota. Właśnie te małpy są smakołykiem dla szympanсів. W przeciwieństwie do goryli szympansy są mięsożerne. Po kilku godzinach udało się nam wrócić do bazy, skąd – po odpoczynku i zrobieniu sobie pamiątkowego zdjęcia ze strażnikami parku – odjechaliśmy do naszego hoteliku w Cyanguu. Byliśmy tak głodni, że podczas jazdy cały czas rozmawialiśmy o jedzeniu. Dopiero po kolacji wróciliśmy do naszej przygody z szympanсами. Od przewodnika dowiedziałem się, że spotykając szympansy, mieliśmy



dużo szczęścia. Podobno bardzo często wyprawa kończy się niepowodzeniem. Szympansy słychać, ale nie można ich dostrzec. Wystraszone schodzą na ziemię, a tam gęsta dżungla nie pozwala ich zobaczyć.



Rano pozostała nam długa podróż przez Butare do Kigali, skąd następnego dnia odlecieliśmy przez Nairobi na Zanzibar. Teraz pozostał nam tydzień na zupełny relaks. Mogłem oddać się pasji nurkowania.



Zanzibar został skolonizowany w X wieku przez Arabów i Persów. Po roku 1500 należał do Portugalii – podobnie jak inne miasta wschodniego wybrzeża Afryki. W końcu XVII wieku stał się częścią Sułtanatu Omanu, a końcu XIX wieku stanowił już samodzielny Sułtanat Zanzibaru. Kilkanaście lat później Wielka Brytania przejęła kontrolę nad Zanzibarem.

W 1963 r. Zanzibar uzyskał niepodległość. Po rewolucji proklamowano Republikę Zanzibaru



i Pemby, a następnie – wraz z sąsiadującą Tanganiką – utworzono Zjednoczoną Republikę Tanzanii.

Jednak Zanzibar to nie tylko przepiękny ocean, piaszczyste plaże wypełnione piaskiem o kolorze i strukturze maki. Zanzibar, a w szczególności Ston Tawn to stara część miasta Zanzibar, pamiętająca czasy sułtanatu a nawet kolonii portugalskiej. Niestety aktualnie jest bardzo zaniedbana i zniszczona.



Pałac Sułtana oraz okalające go budynki, Stary Fort jak również setki kamieniczek wymagają natychmiastowego remontu. Miasto ma wyraźnie arabski charakter. Większość napotkanych mężczyzn i chłopców miało na sobie tradycyjną galabiję, a kobiety i dziewczęta poza chustami na głowach bardzo często miały zasłonięte twarze. Na bardzo wąskich uliczkach, na których znajdowało się mnóstwo małych sklepików, kawiarenek i restauracji, czasami trudno było przejść obok siebie dwóm osobom tak, aby się nie potraścić.



Najbardziej charakterystycznym wystrojem każdej kamienicy są drzwi bardzo bogato rzeźbione i inkrustowane.

Zanzibar to także miejsce, gdzie urodził się Freddie Merkur. Niedaleko przystani promowej znajduje się kawiarnia nazwana jego imieniem, z bardzo dużą ilością fotografii na ścianach. Zanzibar to także port rybacki, w którym codziennie rano odbywa się targ rybny, bardzo często bezpośrednio na łodziach rybackich. Tam też się zapanowaliśmy. Byliśmy jedynymi turystami w tej jakże egzotycznej części miasta.



Zaczął się odpływ i wiele łodzi spoczywało już na lądzie. Przy tych, które były jeszcze w wodzie handlowano dopiero co przywiezionymi rybami. Wokoło roznosił się smród rozkładających się resztek ryb, wysychających wodorostów, oraz gnijących starych części łodzi.

Wieczorem wróciliśmy do hotelu, który znajdował się po drugiej stronie wyspy. Po drodze przejeżdżaliśmy przez wioski, które niczym się nie różniły od tych, które napotykalismy w innych częściach Afryki. Chałupy zrobione były z patyków, słomy, gliny i łajna. Jakże kontrastowały z luksusowymi hotelami wybudowanymi na wybrzeżu Zanzibaru.



ny raz spotkanie z rekinem – na szczęście niezbyt dużym. Miał może 2 m długości i w ogóle się mną nie interesował.

Czas niestety mijał szybko i nastał moment powrotu.

25 lipca wylecieliśmy z Zanzibaru i przez Dar El Salam, Addis Ababe, Kair, Rzym do Warszawy, gdzie dolecieliśmy 27 lipca.

Centrum nurkowe mieliśmy w naszym hotelu i codziennie, z wyjątkiem 2 ostatnich dni pobytu, wczesnym rankiem płynęliśmy na wyspy, które okalały Zanzibar. Płynęliśmy zwykle ok. jednej godziny. Najwięcej emocji było przy pokonywaniu wysokich fal, jakie pojawiały się po wypłynięciu na otwarte morze. Najczęstszymi towarzyszami podwodnych eskapad były żółwie, których w tym rejonie było bardzo dużo. Miałem nadzieję, że uda się nam spotkać delfiny. Tym razem się nie udało. Za to miałem kolej-



Antoni Michalak
W.E. WIKING